

**K**ariera aktorska byłego chłopaka z boys bandu nabiera ostatnio tempa, a poza tym ma on doświadczenie w odgrywaniu Eltona Johna. Wystąpił jako jego młode wcielenie w teledysku do piosenki „This Train Don't Stop There Anymore”. Z Timberlakiem czy bez, szykuje się kolejny „biopic” – zgrabne angielskie określenie filmu biograficznego o muzycznej osobowości. Od lat 80. średnio co rok-dwa ukazuje się tego typu przyzwoita, naszpikowana muzyką fabuła, której wydanie warto dołączyć do kolekcji płyt i koncertów na DVD.

Kino, rzecz jasna, kocha muzykę i daje temu wyraz już od czasu pierwszego pełnometrażowego filmu dźwiękowego „Śpiewak jazzbandu”. Jednak aby wytworzył się gatunek, musiało minąć dobrych kilkadziesiąt



Nastoletni Paul McCartney i John Lennon w „Chłopaku znikąd”.

# Muzyczne biografie na srebrnym ekranie

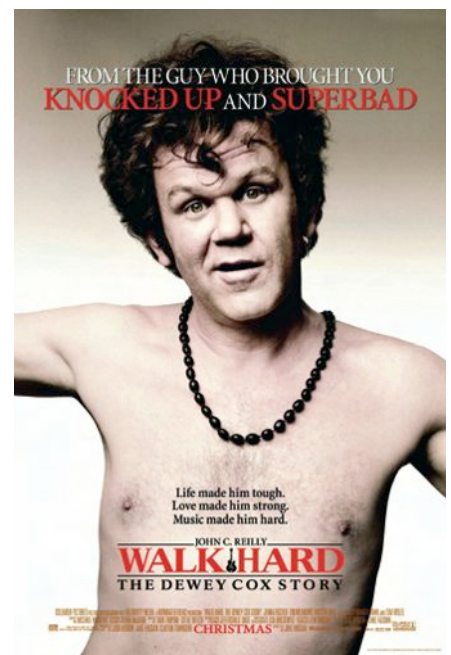
Bartosz Szurik

W styczniowym wywiadzie dla „L.A. Times” sir Elton John powiedział parę słów na temat swojej powstającej filmowej biografii. Wprawdzie zastrzegł, że oficjalne informacje i szczegóły projektu zostaną ogłoszone wkrótce, ale już wiadomo, że autorem scenariusza jest Lee Hall, twórca uznanego filmu „Billy Elliot”. Obraz ma być utrzymany w surrealistycznej stylistyce oraz manierze „Moulin Rouge” i opowiadać historię życia muzyka aż do roku 1990, kiedy to trafił na odwyk. Na razie nie wiadomo, kto zagra autora nieśmiertelnego „Rocket Mana”, ale on sam mówi, że na szczycie jego „listy marzeń” znajduje się Justin Timberlake.

lat. Na dobrą sprawę dopiero kultura rock'n'rolla zainteresowała filmowców losami muzycznych idoli. Znamienne: zanim świat kina i muzyki dojrzał do ukazania tych historii, wyprodukował masę koszmarów pokroju „Rock Around the Clock”. Prosty, tandetny film z lat 50. z rockową muzyką w tle, opowiadający o nastolatkach i dla nastolatków przeznaczonych. W większości popadły one w zasłużoną niepamięć, podczas gdy część filmowych biografii pop artystów przeszła do historii kina.

Prawdopodobnie pierwszą w ogóle, a z pewnością pierwszą istotną filmową biografiją gwiazdy popu jest film z 1979 roku, opowiadający o karierze Mary „The Rose” Foster. Nawet jeśli nazwisko ani przydomek wokalistki nie budzą skojarzeń, to jej losy

z pewnością wydadzą się znajome każdemu, kto choćby pobieżnie interesuje się historią rocka. Tytułowa „Róża” z filmu Marka Rydella jest bowiem „Perłą”, czyli Janis Joplin. Producenci filmu nie uzyskali zgody rodziny Janis na wykorzystanie jej nazwiska, dlatego postanowili zmienić imię bohaterki i nieco sfabularyzować jej życie. W efekcie powstała biografia nieoficjalna, ale łatwa do rozpoznania. Oparta na faktach historia autodestruktywnej, charyzmatycznej wokalistki, staczającej się z rockowego Olimpu w otchłań nałogów. Oglądana dzisiaj „Róża” wydaje się schematyczna, ale dzieje się tak dlatego, że podobnych „nieszczęśliwych historii z morałem” lub opowieści o wzlocie i upadku nakręcono później jeszcze kilka. Wydaje się, że właśnie takie tragiczne losy interesowały



**Parodia filmowych biografii znanych artystów najlepiej świadczy o konwencjonalności gatunku.**

filmowców najbardziej w początkowej fazie rozwoju popowych „biopiców”. Stanowiły zresztą zdrową odpowiedź na wspomniane naiwne i pogodne wczesne rockowe filmy i ukazywały ciemną stronę show-businessu. Takich smutnych historii nie trzeba było zbyt szukać. Stosunkowo szybko przeniesiono na ekran nie tylko biografię Joplin, ale





**Cate Blanchett jako jedno z sześciu wcieleń Boba Dylana z filmu „Gdzie indziej jestem”.**

idola, w stylu filmów „Ray” o Rayu Charlesie czy „Spacer po linie” o Johnnym Cashu i June Carter. Opowieści o ludziach, którzy pokonali traumę dzieciństwa i wyprowadzili swoje życie na prostą, stanowią miłą przeciwwagę dla tragicznych historii Morrisona czy Joplin. Niestety, siłą rzeczy ukazują mniej zwarte historie, a scenarzyści próbujący namalować „bardziej całościowy” obraz życia gwiazd gubią nieco szczegóły.

Alternatywą dla tego typu tytułów są historie takie jak wariacja na temat ostatnich dni życia Kurta Cobaina („Last Days”) albo opowieść o młodym Johnnie Lennonnie („Chłopak znikąd”). Kameralne i bezpretensjonalne obrazy starają się pokazać jedynie konkretny fragment życia muzyków, odrzucając pokusę „całościowego ujęcia” czy moraliza-

W końcu, ostatnim nurtem, który da się wyróżnić w dziedzinie „biopiców” są filmy eksperymentalne. Dobrym przykładem są dwa obrazy Todda Haynesa. Pierwszy z nich, „Idol” z 1998 (org. tytuł „Velvet Goldmine”), przedstawia historię gwiazdy glam rocka, wyraźnie inspirowanej Davidem Bowie i jego scenicznym alter ego – Ziggy Stardustem. Zakręcona fabuła, osnuta wokół dziennikarskiego śledztwa, wprowadza dodatkowe barwne postacie, jak inspirowany Iggy Popem wokalista czy... Oscar Wilde! Jeszcze ciekawszym eksperymentem formalnym jest jednak późniejszy film Haynesa pt. „Gdzie indziej jestem”. W obrazie z 2007 roku sześćoro aktorów gra różne aspekty osobowości Boba Dylana. Żeby jeszcze uduziwić sprawę, reprezentowane są one zarówno przez czarnoskórego nastolatka Marcusa Carla Franklina, jak i intrygującą Cate Blanchett, aż po brodatego Richarda Gere’a. Wysmakowana wizualnie i niebanalna fabularnie historia stanowi prawdziwy filmowy pomnik.

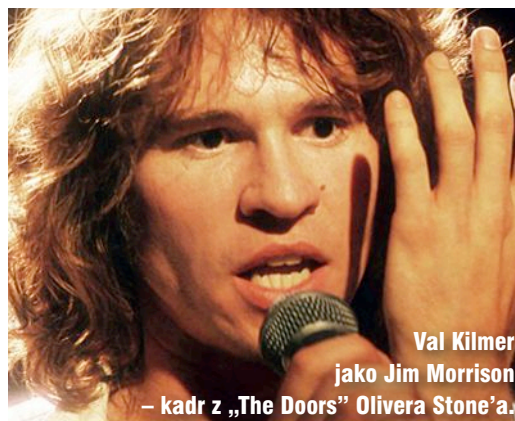
Cztery powyższe nurty – historii tragicznej, spełnionego życia, konkretnego fragmentu i eksperymentu formalnego – wyczerpują gatunek biografii muzyka pop. Gatunek, jak każdy inny, reprezentują i dzieła wybitne, i średnie, i zupełnie niepotrzebne. Jest on też zamknięty w umownych ramach, o czym najlepiej świadczy fakt, że doczekał się kilku parodii, w tym najbardziej dosłownej w 2007 roku, pt. „Idź twardo: historia Deveya Coxa”. Wzorowana najwyraźniej na „Spacerze po linie” komedia wyśmiewa wiele schematów znanych z „biopiców”. Sam jej tytuł, odpowiadający przebojowi napisanemu przez

**Ray Charles w oscarowej interpretacji Jamiego Foxxa.**



też Sida Viciousa z Sex Pistols („Sid i Nancy”), Jima Morrisona z The Doors (reżyserował Oliver Stone) czy – mniej tragiczną, a jednak opowiadającą o zaprzepaszczonej karierze – historię Jerry Lee Lewisa. W nurcie „opowieści bez happy endu” znajdują się też późniejsze filmowe biografie tragicznie zmarłych Seleny („Selena”) oraz Iana Curtisa („Control”), a nawet polska produkcja o Ryszardzie Riedlu („Skazany na bluesa”).

Filmy z tego nurtu „biopiców” stanowią niejako uzupełnienie książkowych autobiografii. Te pierwsze piszą ci, którym udało się przetrwać zabójcze tempo rockowego życia. Te drugie mówią o tych, którym się to nie udało: o pop idolach par excellence, żyjących szybko i umierających młodo. A jednak dużym uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że przemysł filmowy opowiada tylko nieśczęśliwe wersje hagiografii muzyków rockowych. Jest też inny nurt w tym gatunku. Chodzi o historie o barwnym i niełatwym, ale długim i spełnionym życiu muzycznego



**Val Kilmer jako Jim Morrison – kadr z „The Doors” Olivera Stone’a.**

torstwa. Efekt wychodzi niezły, zwłaszcza że mało kto nie wie, co się stało z nastoletnim Lennonem, po tym jak z zespołem wyruszył do Hamburga. Twórca „Chłopaka znikąd” musiał wyjść z rozsądnego założenia, że skoro potencjalni widzowie zdają sobie sprawę, jak potoczyły się późniejsze losy muzyka, to nie musi ukazywać ich w filmie, by stworzyć spójną narrację.

**Bohater filmu Gusa Van Santa wzorowany na Kurcie Cobainie.**



fikcyjnego bohatera, już uwypukla jeden banal: nazywanie biografii albo parafrazami, albo wprost tytułami piosenek autorstwa ich bohaterów („La Bamba”, „Great Balls of Fire” czy „Walk the Line”). Drugim utartym schematem jest nazywanie „biopiców” ich imionami lub pseudonimami głównych bohaterów („Róża”, „Bird”, „Selena”, „Ray”). Sprawę z tego musiał sobie zdawać polski



dystrybutor filmu o Tinie Turner, który oryginalny tytuł „What's Love Got To Do With It” zastąpił... „Tiną”.

„Idź twardo” powtarza też strukturę filmowych biografii często posiłkujących się retrospekcjami oraz wprowadza znanych muzyków jako drugoplanowych bohaterów. Parodiuje najczęściej powtarzające się motywy: nie-szczęśliwe dzieciństwo, uzależnienie narkotykowe, rozwiązałe życie...

Jakkolwiek konwencjonalne by filmowe biografie nie były, wymuszają na filmowcach profesjonalizm. Są uznawane za bardzo wymagające aktorsko: zmuszają wszak do odtworzenia sposobu bycia ludzi znanych i charakterystycznych. Gdy aktorom udaje się sprostać zadaniu, efekt przemiany idola-aktora w idola-muzyka bywa potężny! Niekiedy staje się wręcz bliski „wskrzeszeniu” zmarłych artystów. Aktorzy często wkładają w odgrywanie autentycznych postaci dużo pracy już na etapie upodabniania się do nich (np. Gary Oldman, by stworzyć niesamowitą kreację Sida Viciousa, schudł tak bardzo, że trafił do szpitala). Jest to jednak gra warta świeczki i doceniana przez krytyków. Jamie Foxx za rolę Raya Charlesa, wśród licznych wyróżnień i wyrazów uznania, otrzymał Oscara. Nominację do tej nagrody przyniosła Cate Blanchett jej wersją Boba Dylana; Angeli Bassett – rola Tiny Turner, a debiutującej Bette Midler – kreacja wzorowanej na Janis Joplin Róży. Joaquin Phoenix nie przekuł w Oscara swojej nominacji za rolę Johnny Casha, ale statuetkę dostała Reese Witherspoon, grająca jego sceniczną i życiową partnerkę, June Carter. Foresta Whitakera uhonorowało jury festiwalu w Cannes nagrodą za tytułową rolę w filmie opartym na życiu słynnego jazzowego saksofonisty, Charliego „Birda” Parkera.

Mniej uznania dla pracy filmowców niż krytycy mają zwykle sami muzycy. Panowie z The Doors nie szczędzili gorzkich słów pod adresem filmu Olivera Stone’a, krytykując

jego wizję Jima Morrisona. Oberwało się też twórcom obrazu o basiście Sex Pistols „Sid i Nancy”, zwłaszcza od wokalisty grupy Johnny Rottena. Był on zresztą o tyle upraw-

dość podobne. Brakuje aktorów w roli muzyków, co z pewnością bardziej odpowiada tym drugim. Wielbiciele The Doors też pewnie wołają prawdziwego Morrisona od Vala Kilmera – choć jego kreacja jest tak sugestywna, że momentami można się pomylić.

Byłoby banałem przypomnienie, że filmy typu „biopic” stanowią tylko jedną z możliwych interpretacji żywotów popowych gwiazd. Niezależnie od tego należy również pamiętać, że w zdecydowanej większości należą one do filmów „rozrachunkowych”, tj. rozprawiających się z mniej lub bardziej odległą przeszłością. Nierzadko są to historie przynależne do młodości filmowców, a tego typu opowieści rządzą się swoimi prawami.

Film, przy całej mocy, jaką oferuje to medium, ma istotną wadę: przeważnie brakuje mu aktualności. Rzadko pojawia się obraz – taki jak niedawny, słusznie wychwalany „The Social Network” Davida Finchera – który jest w stanie uchwycić jakieś zjawisko społeczne u szczytu jego rozkwitu. Filmy o muzycznych idolach są przeważnie naznaczone tą wadą. Żeby się przekonać, wystarczy rzut oka na kalendarz. „Róża” ukazała się prawie w dekadę po śmierci artystki, którą portretowała. Bodaj najbliższy aktualności z głośnych tytułów jest film epoki hip-hopu, „8. mila”. Chociaż nie jest to typowy „biopic”, to odgrywana przez Eminema postać ma tak wiele z nim wspólnego, że chyba można zaliczyć go do „biografii nieoficjalnych”. Co ważniejsze: obraz trafił do kin, gdy gatunek stanowiący jego temat był u szczytu popularności. A tego nie da się powiedzieć ani o „The Doors”, ani tym bardziej o „Spacerze po linie”.

„8. mila”, z uwagi na przynależność do bieżącej mody, jest w stanie zaoferować inny wydźwięk niż naznaczone nostalgią typowe „biopiki”. Utrzymany w ponurej stylistyce obraz kończy się dość optymistycznie: kariera protagonisty rozkręca się powoli, co w perspektywie popularności hip-hopu zwiastuje mu sławę i bogactwo. Większość tradycyjnych i najbardziej znanych „biopiców” kończy się jednak inaczej, gorzko. Powstają wszak z innej perspektywy. Albo wspominają tragicznie zakończoną karierę, albo podsumowują bogate życie dojrzałych gwiazd na emeryturze. ■



**Okładki „biopiców” – filmów na podstawie biografii.**

niony do krytyki, że grający go w filmie Andrew Schofield wypadł dość blado. W przypadku obu obrazów główne zarzuty były podobne: koledzy z zespołów sugerowali, że zmarli muzycy byli portretowani jako sceniczne osobowości, a nie znani im zza kulis ludzie. Muzycy The Doors, dla kontrastu, chwalili niedawny dokument „When You’re Strange” Toma DiCillo, uznając go za znacznie bliższy prawdzie niż fabularny film Stone’a. Ray Manzarek mówił wręcz, że jest to antywizja względem tego obrazu. Diabeł musi tkwić w szczegółach, bo w warstwie opowiadanej historii, a nawet operowania materiałami archiwalnymi, oba tytuły są